Jan Winczakiewicz

Audycje polskie z Paryża

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 3, 269-277

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

AUDYCJE POLSKIE Z PARYŻA

W grudniu 1944 Radio Francuskie zaczęło nadawać na falach krótkich audycje w językach obcych. Była to decyzja czysto prestiżowa. Skoro Londyn, Waszyngton, Watykan i Moskwa uprawiały tego rodzaju propagandę, to generał de Gaulle nie mógł dopuścić do tego, aby Francja pozostawała w tyle.

Wiadomo, że Francuzi mają dość mgliste pojęcia o Europie Środkowej i Wschodniej, nic więc dziwnego, że kierownikiem Sekcji Polskiej mianowano ks. Floriana, a to tylko dlatego, że przez kilka lat kierował francuskim kościołem św. Ludwika w Moskwie. Jego polskim zastępcą został ekonomista S. Kowalski, redaktorami byli dwaj historycy, Władysław Pobóg-Malinowski i Witold Nowosad oraz młody literat, Roman Kowaliczko. Ponieważ ks. Florian urzędujący nie w sutannie, lecz w mundurze kapelana wojskowego, zajmował się bez żenady polowaniem na młode sekretarki, poproszono go powrót do zakrystii, a na jego miejsce zjawił się wydzielony z ministerstwa spraw wewnętrznych André Moosmann i po wyjeździe do Polski Kowalskiego funkcję sekretarza objął Tadeusz Święcicki.

W tym czasie ambasada PRL usiłowała narzucić swoich ludzi, co jej się nie udało, osiągnęła jednak to, że usunięto piłsudczyka Pobóg-Malinowskiego i związanego ze Stronnictwem Narodowym Nowosada.

Otrzymałem wówczas propozycję postawienia swojej kandydatury i znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. W przeddzień demobilizacji, bez zawodu, bez żadnych perspektyw na przyszłość miałem wielką ochotę skorzystać z tej niezwykłej okazji, a jednocześnie było mi głupio zajmować miejsce po niesłusznie wyrzuconych, których znałem i szanowałem. Wybrnąłem z tej trudności, stawiając się na wstępną rozmowę w mundurze oficera, z „Polandami" na ramieniu, czyli należącego do armii polskiej podległej rządowi polskiemu w Londynie. Dyrekcję musiano też powiadomić, że do niedawna redagowałem kilka numerów wojskowego pisma „Wrócimy" napiętnowanego przez komunistyczny dziennik „L'Humanité". Wbrew mym oczekiwaniom zostałem przyjęty i jeszcze przez parę miesięcy przychodziłem do pracy w mundurze, czym zaskarbiłem sobie sympatię emigrantów z innych sekcji.

Nadawaliśmy dwie audycje dziennie i ten stan rzeczy z małymi zmianami utrzymał się przez cały czas naszej działalności. Audycja wieczorna na falach krótkich skierowana do słuchaczy w Polsce trwała godzinę. Półgodzinna audycja popołudniowa transmitowana na falach średnich przez rozgłośnię w Lille była przeznaczona dla Polonii robotniczej we Francji Północnej i w Belgii. Naturalnie, każda z nich miała całkiem inne oblicze.

Na audycję wieczorną składał się pięciominutowy artykuł wstępny o najważniejszym problemie dnia, informacje z Francji i ze świata — około 20 min. — przegląd prasy paryskiej oraz pogadanki kulturalne, sportowe itp.

W audycjach na Lille informacje zabierały tylko pięć minut, a resztę czasu poświęcano polskim piosenkom, skeczom, monologom, reportażom z terenu.

W Sekcji pracowały wówczas na etacie następujące osoby: dyrektor André Moosmann, sekretarz redakcji Tadeusz Święcicki, dziennikarze Rega Lanoix, Roman Kowaliczko i niżej podpisany, spikerka Barbara Maliszewska i trzy sekretarki Eliza Gonkiewicz, Gniewa Wołosiewicz i Anna Kirszbraun (później Winczakiewiczowa). Mieliśmy też kilku współpracowników z zewnątrz, autorów cotygodniowych pogadanek. Gnieździliśmy wszyscy w jednym pokoju, nikt nikomu nie przeszkadzał, panowała jak najlepsza atmosfera. Nasze biuro znajdowało się nie byle gdzie, bo na Polach Elizejskich. W kamienicy o jakiej takiej fasadzie ale z wnętrzem zapuszczonym, brudnym i z windą, która zatrzymywała się codziennie na innym półpiętrze. Studia mieliśmy na miejscu, ale pamiętam, że drzwi do jednego z nich nie miały klamki i zamykano je sznurkiem. Były to więc warunki pracy iście pionierskie.

W pierwszym okresie obarczono mnie pisaniem wstępniaków i redagowaniem wiadomości do audycji wieczornej. Na moim biurku gromadziły się stosy teleskryptowych taśm z czterech agencji. Trzeba je było czytać, segregować, zestawiać według tematów etc., aby w końcu uzyskać informację na parę linijek. Harowałem jak dziki osioł, ale ta praca pasjonowała mnie, zabierałem się do niej z przyjemnością. Nie zastanawiając się, czy mój głos dochodzi nad Wisłę starałem się dla własnej satysfakcji wykonywać swój zawód jak najlepiej i usiłowałem nadać tekstom wydźwięk antykomunistyczny. Wymagało to pewnej dyplomacji, gdyż nasze audycje nie były audycjami polskimi, lecz głosem Francji, która utrzymywała stosunki dyplomatyczne z PRL. Podlegały dyrekcji Radia Francuskiego, ale były finansowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wrażliwe na wszelkie protesty ambasad, jak to na przykład działo się w wypadku Sekcji Hiszpańskiej obsadzonej przez republikanów nienawidzących generała Franco. Musiałem więc działać ostrożnie, drogami okrężnymi. Gdy tylko nadarzała się okazja, uwydatniałem zalety ustroju demokratycznego, przypominałem wolność słowa, rozwijałem informacje o strajkach, których na szczęście we Francji nie brakowało, informowałem moich biednych rodaków o sile zakupu zarobków robotniczych we Francji. W przeglądzie prasy przytaczałem cytaty jak najdalsze od mentalności marksistowskiej, a z organu partii komunistycznej „L'Humanité" cytowałem takie zdania, które mogły tylko wywołać śmiech słuchacza. Wychodząc z założenia, że „Kultura" ukazuje się w Paryżu, a więc jest pismem paryskim, włączałem ją do przeglądu prasy paryskiej i przytaczałem spore jej fragmenty. Naturalnie, wartość naszego dziennika polegała przede wszystkim na tym, że dostarczaliśmy słuchaczowi wiadomości z całego świata w tonie obiektywnym, bez narzucania mu jakichkolwiek opinii. Rychło przyszła mi w sukurs blokada Berlina, zimna wojna, wojna w Korei.

Oto jeden z przykładów mojej strategii. W połowie kwietnia 1955 roku rząd Stanów Zjednoczonych wystosował do Związku Radzieckiego notę protestacyjną w sprawie szesnastu przywódców polskiego Podziemia, których w roku 1945 podstępnie aresztowano a następnie skazano w Moskwie na wieloletnie więzienia. Nie bez zdumienia stwierdziłem, że tego dnia nie znalazłem w dziennikach paryskich ani jednej wzmianki na ten temat. Nawet popołudniowy „Le Monde" zamieszczający skrupulatnie wszelką dokumentację z dziedziny polityki międzynarodowej pominął tę sprawę milczeniem. Czyżby depesze agencji prasowych nadeszły do dzienników z opóźnieniem? Ale dlaczego ja otrzymałem je na czas? A może Quai d'Orsay zabiegające wówczas o zwołanie nowej konferencji Wielkiej Czwórki zwróciło się dyskretnie do redakcji gazet, aby zamknęły oczy na tę wiadomość tak nieprzyjemną dla przyszłego interlokutora ze wschodu? Zmowa milczenia trwała nazajutrz i utrzymała się przez następne dni. Ale myśmy tej cenzury nie zastosowali. Informację o nocie amerykańskiej zredagowałem osobiście na jedną stronę maszynopisu i umieściliśmy ją na honorowym miejscu audycji.

Cała ta moja strategia nie była bynajmniej wynikiem jakiegoś walenrodyzmu. To był po prostu odruch emigranta politycznego. Wyobrażam sobie, że takim kompromisem między wiernością dla sprawy polskiej, lojalnością wobec chlebodawcy i troską o utrzymanie się na posadzie kierowali się wszyscy dziennikarze emigracyjni zatrudnieni w rozgłośniach Londynu, Waszyngtonu, Madrytu i nawet Monachium. W moim wypadku liczył się bardzo fakt, że zwierzchnicy francuscy nas nie kontrolowali. Odkomenderowani z różnych ministerstw nie mieli nic wspólnego z radiem i dziennikarstwem. Byli administratorami i wykonywali biernie zlecenia, nie wierząc zupełnie w ich sensowność. Nie wyobrażali sobie, że jakiś Portugalczyk czy Bułgar się męczył, aby złapać na zatłoczonych falach krótkich audycję w swoim języku z Paryża. Każdy z tych urzędników czy urzędasów miał dewizę: „Nie zawracajcie mi głowy" i w zamian odpłacał się uczciwie: „Dajemy wam święty spokój".

Taka też była postawa naszego bezpośredniego dyrektora. Do biura przychodził na parę godzin, z nikim prawie nie rozmawiał, miał na biurku maszynopisy audycji i chyba je przeglądał, ale nigdy nas nie skrytykował, nigdy nie usłyszeliśmy jego dyrektyw.

Naturalnie, Warszawa nas zagłuszała, co dowodziło niezbicie, że nasze audycje stanowiły jakąś przeszkodę w budowaniu socjalistycznego raju. Co dziwniejsze i paskudniejsze, byliśmy także przedmiotem ataków ze strony pewnych emigracyjnych kół. Pomówienia o flirty z reżymem warszawskim ukazały się w londyńskim „Dzienniku Polskim" w rubryce „Szperacz" i w paryskiej „Syrenie". Zgodnie też z tradycją sięgającą czasów emigracji mickiewiczowskiej sypały się donosy do policji francuskiej, co niejednemu z nas zatruło życie. Dzięki pewnym niedyskrecjom poznałem później niektóre z tych bzdurnych doniesień, dowiedziałem się też, kim byli ich autorzy, ale zobo-

wiązany do zachowania tajemnicy nie zrobiłem nigdy użytku z tych informacji, a nawet podawałem rękę moim szanownym donosicielom.

W gastronomii liczy się zasadniczo to, co na talerzu, a nie to, co się dzieje w kuchni. Kiedy jednak kucharza boli ząb, sos traci połowę smaku, pieczeń jest przypalona, zupa przesolona. Zrozumiałe przeto, że opisano dość szczegółowo zakulisowe oblicze Wolnej Europy. Kuchnia naszej Sekcji zasługuje na jeszcze szerszą relację, gdyż wywierała przemożny, decydujący wpływ na charakter i jakość audycji. Choć nie lubię bawić się w plotki i sprawy personalne, dzisiaj, gdy od tego okresu minęło pół wieku, czuję się w obowiązku przezwyciężyć skrupuły i odsłonić podszewkę naszych audycji.

André Moosmann. Znał język rosyjski i polski. Protestant. Ożeniony z Polką. Przed wojną spędził rok czasu w Warszawie w administracji Institut de France. Przybył do nas z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i panowała dość powszechna opinia, że zachował kontakty z policją, zwłaszcza z organami o charakterze wywiadowczym, DST i RG, co znajdowało pewne potwierdzenie w jego zachowaniu. Otoczone tajemnicą i tajemniczością instytucje te działają dyskretnie i delikatnie, ale tak się utarło we Francji, że żadna administracja nie odmawia ich żądaniom. Nasi wyżsi zwierzchnicy nie przepadali za Moosmannem, ale się go bali. Mimo, że jej szedł na rękę, jego własna sekretarka nazywała go Stalinem. Gniewa Wołosiewiczowa, która zawdzięczała mu bardzo wiele, nie zawahała się napisać w swych wspomnieniach, że był to człowiek cyniczny i brutalny. Moosmann miał do Polaków stosunek lekceważący. O wiele bardziej interesowała go Rosja i ubolewał, że mu nie powierzono kierownictwa Sekcji Rosyjskiej.

Tadeusz Święcicki. Legionista. Dowódca batalionu w wojnie bolszewickiej. Następnie szef biura prasowego sejmu, wieloletni redaktor tygodnika literackiego „Pion" i w końcu kierownik Polskiej Agencji Telegraficznej w Paryżu. Podczas wojny uczestnik polskiego Ruchu Oporu we Francji, więzień Buchenwaldu. Naturalnie, pracę u nas uważał za degradację, ale nigdy się nie skarżył. To on ustalił linię audycji i podjął mądrą decyzję nie poruszenia spraw krajowych. Chodziło tu nie tylko o unikanie protestów ze strony ambasady PRL. O tym, co się dzieje w Polsce wiedzieliśmy ze skąpych depesz agencji prasowych z przekręconymi nazwiskami i szczegółami budzącymi wątpliwości. W przeciwieństwie do Wolnej Europy, która dysponowała olbrzymim archiwum, nasłuchami itp., nie mieliśmy żadnego warsztatu, nie otrzymywaliśmy nawet pism krajowych. Święcicki potrafił wpływać na Moosmanna i zwerbował do współpracy Pobóg-Malinowskiego i Ludwika Lillego. Pobóg-Malinowski pracował wtedy nad swą trzytomową *Historią Polski współczesnej* i żył tylko z tego, co zdołała uciułać jego żona, jako krawcowa. Mizerne honoraria z radia były dla niego na wagę złota. Wygłaszał pogadanki z najnowszej historii polskiej w duchu najczystszego patriotyzmu. Lille, wybitny malarz i znawca sztuki wygłaszał urocze prelekcje o muzeach i wystawach. A ponieważ ten niezaradny artysta nie umiał sprzedawać swych obrazów, grosze, które zarabiał u nas, ratowały go od śmierci głodowej. Łączyła mnie z nim bardzo serdeczna zażyłość. Święcicki, mimo, że był dziennikarzem doświadczonym a ja początkującym, nie używał tonu profesorskiego i zdaje się, że mnie dość cenił. To on mnie nauczył, że nie ważne, co się mówi, ważne, kto to mówi, gdzie i kiedy. Utrzymywaliśmy ze sobą jak najlepsze stosunki, razem rozwiązywaliśmy krzyżówki, bywałem w jego domu, ale czasem nie krępowałem się wygłaszać odmienne opinie. „Rogata dusza" — odpowiadał dobrodusznie „dziadzio", bo tak żeśmy go nazywali. Jego funkcje polegały na poprawianiu tekstów, na kontaktach z pracownikami i z zewnątrz, on też redagował informacje w audycji Lille.

Roman Kowaliczko. Bez większej kultury, ale zdolny, rzutki, urodzony radiota. To z jego inicjatywy i prawie że za plecami, a w każdym razie bez udziału Moosmanna powstała audycja Lille, którą świetnie kierował. Umiał trafić do tych robotniczych słuchaczy, nawiązał z nimi serdeczny kontakt, jeździł często do Francji Północnej aby przeprowadzać wywiady z prezesami polonijnych stowarzyszeń i kółek. Parę razy Moosmann towarzyszył mu w tych eskapadach i dzięki niemu poznał to środowisko. Kowaliczko nie miał etatu i nie chciał go mieć, bo jako wolny strzelec zarabiał więcej od Moosmanna, on zaś wykorzystywał sukcesy Kowaliczki i po paru latach wyrzucił go bez pardonu, po prostu dlatego, że był od niego zbyt niezależny. Kowaliczko zdążył jednak wyrobić sobie stosunki wśród Francuzów i dostał od razu pracę w Tunisie, gdzie się całkiem dobrze spisywał. Jego dymisja była dla Sekcji poważną stratą.

Rega Lanoix. Pochodziła z rosyjskiej rodziny żydowskiej, młodość spędziła w Polsce, od dwudziestu lat mieszkała we Francji. Moosmann wyrobił jej u nas posadę, gdyż była przyjaciółką

jego żony. Rega komunizowała, prenumerowała organ partii „L'Humanité", ale w biurze wstrzymywała się od głoszenia swych przekonań, a ponieważ była dobrą, uczynną koleżanką, wszyscyśmy ją lubili. Mimo mojego antykomunizmu byłem z nią na ty. Kłopot sprawiała tylko jej pół zapomniana polszczyzna i Święcicki poświęcał sporo czasu na poprawianie jej tekstów.

Pewnego dnia otrzymaliśmy list z prośbą o ogłoszenie takiego komunikatu: „Pani XY poszukuje swego syna. Ostatni raz widziano go na Starym Mieście podczas powstania. Podobno przebywał w Stalagu". Naturalnie, nadaliśmy komunikat parę razy i wkrótce potem zaczęły napływać z Polski podobne prośby. Tak powstała „skrzynka poszukiwań", której poświęcaliśmy ostatnie dwie minuty audycji wieczornej i to przez wiele, wiele lat, niestety z bardzo nikłymi rezultatami. Dzięki tej rubryce otrzymywaliśmy pewną ilość listów, co świadczyło, że ktoś nas słucha, ale te listy mogły też pochodzić od osób nie posiadających w ogóle radioodbiornika.

Podobnie, jak niektórzy dziennikarze z sekcji zagranicznych, stawiałem sobie pytanie, ilu możemy mieć słuchaczy i czy nie przemawiamy w próżnię. Wystarałem się o nagrody w postaci trzech najnowocześniejszych radioodbiorników, co w owej przed-telewizyjnej epoce miało sporą wartość, i urządziłem konkurs „Czym jest dla mnie radio?". Wiadomości o tym konkursie ogłaszaliśmy wyłącznie w naszych audycjach, aby nikt nie dowiedział się o nim z innych źródeł. Stał się cud. Nadeszło koło 800 odpowiedzi i mimo stalinowskiej cenzury prawie połowa nadeszła z Polski. A więc mamy słuchaczy! Ilu? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Może ilość prac konkursowych należało pomnożyć przez sto? Może przez tysiąc? Zgodnie z moim wnioskiem nagrody przyznano trzem ociemniałym, mieszkającym w Polsce, w Anglii i we Francji. Pierwszy stracił wzrok podczas powstania warszawskiego, drugi w bitwie pod Monte Cassino. Trzeciemu na północy Francji Moosmann zawiózł nagrodę zabierając ze sobą parę osób z Sekcji, w tajemnicy przede mną. Po roku wystarałem się o dalsze trzy radioodbiorniki, a tematem nowego konkursu było pytanie „Czym jest dla mnie Francja?". Jedną nagrodę otrzymała żona górnika, która bardzo ładnie i prosto opisała przyjazd swej rodziny do Francji po pierwszej wojnie światowej, trudności językowe i obyczajowe, pracowite i powolne dorabianie się do normalnego poziomu życia. Z pośród kilkuset odpowiedzi, jakie nadeszły z Polski, niektóre o wysokim poziomie, zwróciła moją uwagę praca napisana z dużym zacięciem literackim. Nadesłał ją nieznany mi Leopold Tyrmand, autor słynnej później powieści *Zły*. Parę lat potem przyjechał do Paryża i przyszedł do naszej Sekcji, gdzie przyjął go Moosmann, znowu w tajemnicy przede mną.

Koło roku 1950 nastąpiło trzęsienie ziemi. Naturalnie, z powodu kobiety. *Sex appeal*, futro z norek, brylanty, perfumy, maniery gwiazdy w Hollywood. Nasz dyrektor zakochał się w niej do nieprzytomności. Dramat polegał na tym, że gwiazda chciała śpiewać, naturalnie, w naszych audycjach, bo nigdzie indziej jej nie chciano. Nasz dyrektor oszalał i polecił okraszać każdą audycję aż czterema piosenkami. Próby z pianistą i nagrania takich dzieł jak „Umówiłem się z nią na dziewiątą" pochłaniały lwią część budżetu. Połowa naszej audycji zmieniła się w kabaret. Z Londynu sprowadzono na rok Ninę Oleńską i Feliksa Konarskiego (Ref-Ren), przemiłą i wybitnie uzdolnioną parę artystów. W ramach tej reformy zrodziły się także takie mało poważne działy, jak „Klub optymistów", „Michaś Lwowiak", „Klub filatelistów", „Moda paryska", prowadzone przez Gniewę Wołosiewicz, która z sekretarki zaawansowała na dziennikarkę*. Cała ta rosnąca produkcja nie budziła we mnie zachwytu i wypaczała zasadniczy charakter audycji, ale trzymałem język za zębami. Święcicki był tego samego zdania, ale on również musiał milczeć.

Opracowałem wówczas memorandum z projektem zastąpienia audycji godzinnej przez dwie audycje półgodzinne. Dowodziłem, że słuchanie audycji na falach krótkich wymaga dużego wysiłku i cierpliwości, wobec czego audycje krótsze mają większe szanse powodzenia. Mimo, że w moim memorandum nie było ani słowa o piosenkach i skeczach, Moosmann odmówił przekazania go wyższym instancjom i dał mi do zrozumienia, że nie powinienem się wtrącać w sprawy, które do mnie nie należą.

Wkrótce potem spotkałem się z odmową urządzenia nowego konkursu i zadanie to otrzymała Gniewa Wołosiewicz, z czego zresztą wywiązała się jak najlepiej. Nie potrzebuję dodawać, że tematem konkursu były piosenki. Gniewa domyślała się moich opinii, co nie naruszało naszej przyjaźni. Ceniłem jej żywotność i pomysłowość, bywałem też gościem w jej domu na przemiłych

* Patrz: G. Wołosiewicz, *33 lata mojej pracy w Sekcji Polskiej Radia Francuskiego*, Archiwum Emigracji 1999 z. 2 s. 247. Krótką historię Sekcji napisał też Leszek Talko, prawie że pod dyktando Moosmanna.

zabawach z tańcami i znakomitym bufetem. Z jej mężem, inżynierem, kolegowaliśmy na studiach w Grenoble.

Te przyjęcia miały drugą stronę medalu. Rozwiedziony, a więc niejako bezdomny Moosmann zapraszał na nie swoich zwierzchników. Gniewa powtarzała lojalnie, że Moosmannowi zawdzięcza bardzo dużo, ale on zawdzięczał jej jeszcze więcej. To dzięki tym potańcówkom i kolacjom z polską wódką i bigosem zaawansował koło 1965 r. na szefa sześciu sekcji wschodnioeuropejskich, co zresztą było funkcją wypraną z jakiegokolwiek znaczenia.

W okresie 1950–1953 przewinęło się u nas kilku dziennikarzy politycznych, ale żaden nie zdołał uzyskać etatu i zadomowić się na dłużej. Wymieniam ich w celach kronikarskich:

— Władysław Żeleński, bratanek Boya, w latach dwudziestych, przed wstąpieniem do sądownictwa, dziennikarz w „Kurierze Porannym" i „Kurierze Wieczornym". Wybitna inteligencja, szerokie horyzonty.

— Władysław Wolski, również dziennikarz przedwojenny z prasy warszawskiej. Świetna orientacja w sprawach międzynarodowych.

— Wacław Zbyszewski, jeden z najwybitniejszych publicystów emigracyjnych. Błyskotliwy styl, wielka wyobraźnia, wielka kultura. Niestety, Moosmann nie kiwnął palcem aby uzyskać dla niego stały etat. Zbyszewski zaprosił mnie kiedyś na kawę, aby zapytać, co należałoby zrobić aby podnieść poziom audycji, ale nie wymyśliliśmy żadnego lekarstwa.

— Raz w tygodniu i to przez długie lata wygłaszał u nas komentarze dotyczące polityki francuskiej Roman Fajans. Był to dziennikarz o dużym doświadczeniu i jeszcze przed wojną zabłysnął w „Kurierze Warszawskim" korespondencjami z obu stron frontu hiszpańskiego. W Paryżu był stałym korespondentem belgijskiego dziennika „Ce soir". Swe kompetentne komentarze wygłaszał tonem mentorskim, co nie mogło się podobać słuchaczom.

W roku 1953 przyjechał do Paryża Edward Borowski i korzystał zapewne z wysokich protekcji, gdyż natychmiast uzyskał etat. W czasie wojny pracował w londyńskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, następnie był sekretarzem naszej ambasady przy Watykanie. Znakomity poliglota, otrzaskany z problemami międzynarodowymi, biegły w historii i w historii sztuki. Snob, kawaler maltański. Pasjonował się genealogią i znał wszelkie koligacje i tajemnice łoża Potockich, Sagnuszków i Radziwiłłów. Wyposażony w rozliczne uzdolnienia nie posiadał zupełnie smykałki dziennikarskiej i redagowane przez niego informacje przypominały oficjalne komunikaty ministerialne. Od tej pory redagowaliśmy dzienniki wieczorne na zmianę, każdy co drugi dzień.

W 1953 r. powstała potężna rozgłośnia Wolnej Europy, szybko się rozkręciła i nas zakasowała, ale jeszcze do roku 1956, a nawet 1958 otrzymywaliśmy tysiące listów rocznie.

Mimo, że nie mogłem liczyć na najmniejszą życzliwość Moosmanna i jakby zapominając o dotychczasowych doświadczeniach, pozwoliłem sobie wystąpić z nową inicjatywą. Stwierdziwszy, że nasze audycje na falach średnich przez rozgłośnię Lille są słyszalne i słuchane w wielu okręgach Polski, zaproponowałem, aby audycje wieczorne na kapryśnych i zagłuszanych falach krótkich nadawać też na falach średnich przez rozgłośnię w Strasburgu. Mimo, że się upewniłem, że ten projekt był łatwy do zrealizowania pod względem technicznym, natrafiłem znowu na veto Moosmanna, który po raz drugi upomniał mnie ostro, żebym nie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

Zanotowałem też inne ostrzeżenie. Rega Lanoix wyjechała na wakacje, zostawiając swój adres w Szwajcarii. Otrzymała tam list Moosmanna z wnioskiem, aby z własnej inicjatywy podała się do dymisji. Rega przerwała urlop i wzburzona zaprotestowała przeciwko tym skandalicznym metodom. Doszło do kompromisu. Dyrekcja przeniosła Regę do innego działu, gdzie poczuła się znacznie lepiej, niż u nas.

W roku 1959 wszedł w życie statut dziennikarzy radiowych. Musiano nas zrównać z lepiej zarabiającymi dziennikarzami francuskimi i moja pensja uległa prawie że podwojeniu. Stwierdziłem, że Borowskiego zakwalifikowano do wyższej kategorii niż mnie, mimo, że pracowałem w Sekcji dwa razy dłużej i miałem szerszy zakres pracy. Zrozumiałem, że Moosmann typuje go na następcę Święcickiego, który zbliżał się do emerytury. Borowski był tym awansem zażenowany i zapewniał mnie, że się wcale o to nie ubiegał. Była to niewątpliwie prawda i nasze dobre stosunki nie uległy zmianie. Borowskiego lubiłem, rozumieliśmy się w pół słowa, czasem go zapraszałem do nas do domu, często gawędziliśmy o malarstwie włoskim i pejzażach toskańskich.

W tym samym roku 1959 de Gaulle powrócił do władzy i aby mu zapewnić jak najwięcej głosów w referendum stworzono nową półgodzinną audycję na falach Lille o godzinie 9-tej rano.

Ponieważ nikt nie miał ochoty zrywać się o świcie, odkomenderowano mnie do tej roboty i pewnie Moosmann wyobrażał sobie, że połamię sobie na niej zęby, bo o tej porze ludzie są w pracy i nikt audycji słuchać nie będzie. Ku mojemu i ogólnemu zdumieniu audycja spowodowała nową, dość poważną ilość listów. Pamiętam, że Tadeusz Święcicki składał mi gratulacje. Ale po referendum audycję zlikwidowano.

W tym samym czasie przenieśliśmy się z Pól Elizejskich do luksusowego gmachu Radia nad Sekwaną. Z racji nowego statutu Sekcja przyjęła trzech nowych redaktorów. Byli nimi:

— Janusz Laskowski. W czasie wojny korespondent wojenny z okrętów polskiej marynarki, następnie korespondent na procesie norymberskim. Inteligentny, dobre pióro.

— Witold Nowosad. Historyk odznaczający się świetną klarowną polszczyzną, jakby ze szkoły Sienkiewicza.

— Tadeusz Parczewski. Były urzędnik konsularny, przemiły kompan, kobieciarz, smakosz. Do jego specjalności należały pogadanki gastronomiczne.

— Później doszlusował Jan Grużewski. Rzutki, przedsiębiorczy, dbający o swoje interesy, jeździł często do Francji Północnej, skąd przywoził wywiady z działaczami polonijnymi.

Po odejściu Moosmanna mianowano Borowskiego szefem Sekcji, co już mnie nie zaskoczyło i w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na nasze dobre stosunki. Pasjonowałem się moją pracą dziennikarską i na zaszczytach, tytułach i stanowiskach wcale mi nie zależało. Wobec nowego szefa zachowywałem się z jak największą lojalnością, składając mu sprawozdania z wszystkiego co robiłem, on zaś dawał mi wolną rękę i wstrzymywał się od udzielenia dyrektyw. Jako sekretarz redakcji układałem programy obu audycji, ale nie chciałem grać roli zwierzchnika i nie poprawiałem tekstów mych kolegów, wprowadziłem jednak zasadę, że każda informacja czy pogadanka musiała być przejrzana przez innego redaktora. Przede wszystkim zajmowałem się wówczas działem kulturalnym, co mi sprawiało wielką satysfakcję. Biegałem na premiery do teatrów i kin, czytałem nowości literackie, odwiedzałem galerie sztuki, zapraszałem na wywiady różne osobistości. Z Kazimierzem Wierzyńskim, który mieszkał wtedy w Paryżu, przeprowadziłem chyba z dziesięć rozmów. A inni to Antoni Słonimski, Józef Wittlin, Wacław Solski, Sławomir Mrożek, Zbigniew Herbert, Witold Gombrowicz, gen. Maczek, Wojciech Natanson, malarze wystawiający w Galerie Lambert, Ewa Osińska, Elżbieta Chojnacka etc.

Gdy ci wybitni pisarze i artyści przychodzili do studia, ani Borowski, ani Moosmann nie pofatygowali się aby się z nimi przywitać.

Korzystając z paroletniego pobytu w Paryżu znakomitej aktorki, Ewy Krasnodębskiej, założyłem miniaturowy teatr radiowy. W ramach nie więcej niż dwudziestu minut graliśmy fragmenty sztuk Moliera, Musseta, Rostanda, a także Girodoux, Bernanosa, Geneta, Salacrou, Claudela, Ionesco i innych. Opracowywałem tłumaczenia, odpowiednie objaśnienia i tło muzyczne oraz próbowałem swych sił aktorskich. Ewa Krasnodębska udzielała mi dyskretnie lekcji i zdaje się, że była dość zadowolona z ucznia. Raz udało mi się zwabić przebywającego przejazdem we Francji Gustawa Holoubka. Miał odczytać słynny monolog Figara, ale dano nam studio o godzinie 10-tej rano i Holoubek przyszedł nie całkiem rozbudzony. Recytował bez ognia i wówczas zdobyłem się na śmiałość, aby mu zwrócić na to uwagę. Holoubek kiwnął głową i posłusznie przeczytał monolog powtórnie, już z odpowiednią werwą. Rok potem spotkałem go z Krafftówną na festiwalu filmowym w Locarno i sporo czasu spędzaliśmy na opowiadaniu sobie dowcipów. Wieczorami Holoubek uczył się na pamięć roli Konrada do historycznego przedstawienia „Dziadów".

Cała ta działalność kulturalna pochłaniała mnie, bawiła, każdego dnia sprawiała przyjemność i muszę przyznać, że dawna pasja polityczna z pierwszych lat powojennych wywietrzała mi trochę z głowy. Inna rzecz, że z każdym rokiem traciliśmy coraz więcej słuchaczy. Gwoździem do trumny było polecenie Moosmanna, aby każdą audycję rozpoczynać od piosenki francuskiej. Słuchacz polski szukający nas w dżungli fal krótkich natrafiał na śpiew po francusku i przekonany, że ma do czynienia z rozgłośnią francuską przesuwał się na głos Wolnej Europy. Nowe zarządzenie wzięło się stąd, że ktoś podszepnął Moosmannowi, że młodzież polska lubi słuchać rozgłośni luksemburskiej z najnowszymi sambami i *boogie-woogie*.

Koło roku 1965 dyrekcja powiadomiła nas, że z końcem miesiąca zostaną zlikwidowane audycje przez rozgłośnię Lille. Trudno mi było z tym się pogodzić, obawiałem się też, że w ślad za tą decyzją mogą nastąpić redukcje personelu. W rozmowie ze mną na ten temat Borowski wzruszył ramionami, Moosmann zaś oświadczył mi wprost, że jest to decyzja słuszna. Miałem wówczas

pewne dyskretne chody, z których zresztą nie korzystałem nigdy dla celów osobistych. Zredagowałem odpowiednie memorandum, które trafiło ponoć na biurko premiera i audycja została przywrócona. Naturalnie, nikt się o mojej interwencji nie dowiedział. Co zabawniejsze, audycje te utrzymały się do roku 1997!!!

Na wzmiankę zasługują trzy inne działy naszej działalności:

— Religia. Raz na tydzień na falach Lille i raz na tydzień na falach krótkich nadawaliśmy pogadanki religijne. Najpierw wygłaszał je ks. Florian Kaszubowski, a po nim ks. Witold Kiedrowski. Co niedziela transmitowaliśmy też mszę św. z Kościoła polskiego w Paryżu. Była to wówczas jedyna msza polska na falach radiowych. Naturalnie, kazania odbiegały daleko od marksizmu-leninizmu i często przybierały charakter patriotyczny. Po oficjalnej wizycie Gierka we Francji transmisje te przerwano na polecenie Pałacu Elizejskiego. Mimo interwencji ze strony arcybiskupa z Lille i nuncjatury Giscard d'Éstaing nie cofnął obietnicy danej Gierkowi.

— Wysyłka lekarstw do Polski. Działem tym kierowała Anna Winczakiewiczowa. Aby leki nie przedostawały się na czarny rynek, wymagała recept lekarza z pieczątką. Kontrolę sprawował też polski lekarz z Paryża, dr Laskowski. Znajoma apteka udzielała poważnych zniżek. Finansowaliśmy tę akcję z dobrowolnych datek, jakie przysyłali nam rodacy z Francji Północnej w zamian za ogłoszenia w koncercie życzeń. Najwięcej zapotrzebowań przychodziło od astmatyków. Pewnego dnia wczesnym popołudniem odezwał się telefon z Żoliborza: „Mojego synka ugryzł wściekły pies. W Polsce nie ma na to lekarstw. Można je nabyć tylko w Paryżu. Ratujcie". Udałem się natychmiast do Instytutu Pasteura, kupiłem odpowiednią szczepionkę, przed wieczorem Janusz Laskowski pojechał na lotnisko i wręczył ją polskiemu pilotowi, na którego czekał już na Okęciu zaniepokojony ojciec.

— Koncert życzeń. Tylko na falach Lille. Nasze utrapienie. Na Zofię i na Stanisława wypełnialiśmy nim audycje przez trzy dni. Chciałem używać skróconej formy: krewni i przyjaciele przesyłają życzenia Stanisławom XYZ. Ale Tadeusz Święcicki wymieniał nie tylko solenizanta, ale też po imieniu i nazwisku żonę, synów, synowe, córki, zięciów wszystkie wnuczki i wnuków. To on miał rację. Prości ludzie mają niesłychaną frajdę, gdy usłyszą przez radio swoje imię i nazwisko. Najczęściej proszono nas o nadanie dość katarynkowej piosenki „Gdzieś ty moja chatko biała" i wykonaniu Marysi Data polonijnej piosenkarki z Ameryki.

Oddzielne słowa należą się spikerom. Jest to funkcja bardzo ważna. Od spikera wymaga się nie tylko miłego głosu i nieskazitelnej dykcji, ale też inteligencji. Dobry tekst słabo odczytany to fiasko. I przeciwnie, spiker może uratować kiepski tekst. W tej dziedzinie dopisywało nam szczęście. Świetną spikerką okazała się Barbara Maliszewska, sekundowali jej z dużym powodzeniem Jan Maluty i Ryszard Żaba i periodycznie Leszek Talko. Ciekawostka. W roku 1952 znakomity kompozytor Roman Palester, zerwał z reżymem komunistycznym i znalazł się z żoną w Paryżu w bardzo trudnych warunkach finansowych. Przez pół roku zarabiał u nas na chleb spikerując w obu codziennych audycjach.

Lipiec 1969. Gdy po audycji wieczornej zostałem w biurze sam, żeby jeszcze coś zrobić, przyszła sekretarka z dyrekcji i wręczyła mi list: „Z dniem dzisiejszym przestaje pan pracować w Sekcji Polskiej. Po nowy przydział zgłosi się pan do dyr. Studera. Podpis — C. Boissière". Zabrałem z szuflady moje osobiste drobiazgi, zostawiłem na biurku z odpowiednią notatką materiały na przyszłe audycje i wyszedłem w czarną noc. Ponieważ Moosmann pozostawał w tym czasie na urlopie, wniosek o wyrzuceniu mnie z Sekcji przedstawił dyrekcji nasz rycerz maltański. Jeśli działał z własnej inicjatywy, to na pewno z błogosławieństwem Moosmanna. Bardziej prawdopodobne, że działał na polecenie Moosmanna, a że miał swą starannie ukrywaną piętę Achillesa, mógł łatwo ulec szantażowi. Scenariusz wyreżyserowano kunsztownie, wyśledzono nawet moment, kiedy będę w biurze sam i z doręczeniem listu czekano do późnej godziny. Nie wiem, czy kiedykolwiek na świecie potraktowano dziennikarza w sposób równie brutalny i cyniczny.

Dyrektor Studer zapewnił mnie, że o całej tej sprawie nie ma zielonego pojęcia, polecił czekać w domu na nowy przydział a po wyjaśnienia odesłał mnie do Boissière'a. Tu zaś natrafiłem na mur. Na moje argumenty, że nie popełniłem najmniejszego błędu, że nie spotkałem się z żadnym zarzutem i że utrzymywałem z kolegami dobre stosunki, Boissière odpowiedział zimnym milczeniem, a gdy postawiłem wniosek o przeprowadzenie ankiety, oświadczył, że nie ma na to czasu. W Sekcji jedna tylko Gniewa Wołosiewicz (!) ujęła się za mną przed Moosmannem, za co zachowuję dla niej wdzięczność.

Znalazłem się w potrzasku. Z punktu widzenia prawa dyrekcja decyduje sama o przydziałach pracowników. Protesty związku zawodowego dziennikarzy spełzłyby na niczym i tylko mogłyby pogorszyć moją sytuację. Znalazłem się w sztabie dyrekcji, w dziale współpracy z Telewizjami i Radiami dawnych kolonii w Afryce Czarnej. Brałem nawet czynny udział w konferencji tych zamorskich dyrektorów.

W tym okresie napisałem na zamówienie Księgarni Polskiej przewodnik po Paryżu, a następnie Jan Nowak Jeziorański, kierownik Wolnej Europy, zwrócił się do mnie z propozycją objęcia działu kulturalnego po przechodzącym na emeryturę Romanie Palestrze. Była to propozycja więcej niż zachęcająca. Wolna Europa to wymarzony warsztat pracy dla dziennikarza. Wyraziłem więc z entuzjazmem wstępną zgodę, prosiłem tylko o pewną zwłokę na uregulowanie moich spraw z Radiem Francuskim. Jan Nowak Jeziorański okazał zrozumienie, jeśli chodzi o prawa nabyte i przez kilka miesięcy czekał cierpliwie na moją odpowiedź. Byłem ujęty jego kurtuazją, do dziś dnia jestem wdzięczny za okazanie mi tak dobrej woli, zachowuję jego listy.

Mojemu zwierzchnikowi zaproponowałem, aby Radio zwolniło mnie z przewidzianymi przez prawo odszkodowaniami (pensja za 12 ostatnich przepracowanych lat). Studer zajął przychylne stanowisko i wszczął odpowiednie kroki, ale po tygodniu udzielił mi z żalem odpowiedzi odmownej. Ministerstwo nie pozwala nikogo zwalniać, żeby nie powiększać ilości bezrobotnych.

Nie miałem ochoty robić prezentu instytucji, która mnie tak brzydko potraktowała. Z żalem zrezygnowałem z oferty Jana Nowaka Jeziorańskiego i — rogata dusza — wytoczyłem mojej dyrekcji proces. Wymiar sprawiedliwości we Francji odznacza się żółwią powolnością. Po dwóch latach wygrałem proces w pierwszej instancji, ale Radio wniosło apelację, co zabrało jeszcze więcej czasu, w końcu jednak odniosłem całkowity sukces. Był on tym większy, że z natury rzeczy Trybunał odnosi się z większym zaufaniem do dokumentów przedstawionych przez tak poważną instytucję jak Radio, niż do pretensji dziennikarza cierpiącego może na megalomanię lub osobiste urazy. Miałem jednak dobrego, pracowitego adwokata, dostarczyłem obszerną dokumentację i korzystałem z zeznań świadków, przede wszystkim szefa sekcji jugosłowiańskiej. Z kategorii czwartej Sąd Apelacyjny przesunął mnie do kategorii szóstej, z wieloletnim działaniem wstecznym, równając mnie z kategorią Moosmanna i Borowskiego. Wypłacono mi za zaległe lata poważne odszkodowania, za które kupiłem sobie luksusowe mieszkanie w znanej miejscowości nadmorskiej Le Touquet, odtąd też pobierałem podwyższoną pensję.

Z takim wyrokiem w kieszeni zamierzałem rozrachować się z moimi prześladowcami i tryumfalnie wrócić do Sekcji Polskiej. Niestety, parę miesięcy wcześniej, dnia 1 stycznia 1975 zlikwidowano wszystkie sekcje zagraniczne, a Boissière, Moosmann i Borowski przeszli na przyspieszoną emeryturę. Donkiszot atakował wiatraki, moje ataki zapadłyby w próżnię.

Zostałem na lodzie. Po rozbiciu ORTF czyli Urzędu Radia i Telewizji Francuskiej na sześć niezależnych od siebie członów (kanał I, kanał II, kanał III, radio, produkcja i dyrekcja techniczna) dostałem się do Dyrekcji Technicznej, zatrudniającej wyłącznie inżynierów i techników. Wylądowało tam kilku podobnych do mnie rozbitków, utworzono dla nas biuro badań, które niczego nie badało, mieliśmy wspólny pokój i czas spływał nam na gadaninie, nie mogłem tam ani pisać, ani czytać. Tyle tylko, że regularnie co miesiąc kapała mi pensja. Gdy w roku 1981 wskrzeszono audycje na Polskę, zgłosiłem się o przydział do mej dawnej redakcji, ale znowu spotkałem się z odmową, gdyż panowała żelazna zasada, że nikogo nie wolno było przenosić z jednego do drugiego członu dawnego ORTF. Wystosowałem ponownie wniosek o zwolnienie z odszkodowaniami, udowadniając, że te odszkodowania byłyby trzy razy niższe, niż suma pensji, jakie mam pobierać do emerytury. Znowu odmowa. Biurokracja, biurokracja. Ale zamykano oczy, gdy przychodziłem do biura z opóźnieniem i wymykałem się coraz wcześniej.

Od tych wzlotów i upadków upłynęło dużo czasu i albo o przeszłości w ogóle nie myślę, albo wspominam ją już bez goryczy. Ci, którzy wyrządzili mi tak wielką krzywdę, leżą w grobie. Największy żal miałem do Borowskiego. W 1972 r. na kiermaszu książki w Księgarni Polskiej odmówiłem mu podania ręki, gdy się do mnie zbliżał z czarującym uśmiechem, ale później w Bibliotece Polskiej podałem mu dłoń. Z litości.

Audycje polskie z Paryża istnieją nadal. W momencie likwidacji w 1975 r. zachowano audycje dla robotników cudzoziemskich pracujących we Francji, dzięki czemu uratowały się audycje przez rozgłośnie Lille z personelem zredukowanym do trzech osób z Leszkiem Talko na czele. Kiedy zaś w roku 1981 wprowadzono w Polsce stan wojenny i kiedy cała Francja manifestowała swą sympa-

tię dla Solidarności, wskrzeszono audycje polskie na falach krótkich. Wyobrażam sobie, że stanęły na wysokości zadania, ale musiały się uginać pod przemożną konkurencją Wolnej Europy, BBC i Głosu Ameryki.

W późniejszym okresie powstało Francuskie Radio Międzynarodowe RFI z audycjami w osiemnastu językach, nastawione głównie na Azję i Afrykę. Wskrzeszono też sekcję rosyjską, rumuńską, serbską i inne, a Sekcja Polska znacznie się rozrosła. Obecnie trzy codzienne audycje w języku polskim trwają łącznie 2 godziny i 15 minut. Słuchaczy na falach krótkich zachowało się zapewne malutko, co nie ma znaczenia, gdyż audycje te są transmitowane poprzez satelitę do wielu rozgłośni regionalnych w Polsce — Radio Classic, Radio Bis, Warszawa, Zakopane itd., skąd rozchodzą się w tych rejonach na falach UKF (FM). Audycje mają więc całkiem inne posłannictwo i inny charakter. Składają się na nie wiadomości ze świata i z Francji, komentarze, przeglądy prasy, pogadanki z życia kulturalnego Paryża. Piosenki usunięto na daleki margines, wyrugowano kabaret, ale raz na tydzień poświęca się kwadrans czasu na francuski jazz i kwadrans na paryskie koncerty muzyki klasycznej. Funkcję kierownika spełnia od wielu lat niezwykle sprawny i inteligentny Kazimierz Piekarec na czele zespołu złożonego z dziennikarzy fachowych i błyskotliwych, wśród których znalazł się świetny eseista, Krzysztof Rutkowski i znany we Francji muzykolog, Piotr Kamiński. Jak się orientuję, praca w zespole toczy się harmonijnie, bez zgrzytów. Składa się on z dwunastu redaktorów, dwóch asystentek i jednej sekretarki. (Kiedyś było na etacie tylko czterech redaktorów, aż trzy sekretarki i spikerka.) Ten nowy okres od roku 1981 do dnia dzisiejszego, już bez żadnego pracownika z ekipy dawniejszej, wymaga osobnego omówienia.

Jan Winczakiewicz (Francja)